

Niesamowita Azja Południowo-Wschodnia

Indonezja, Komodo i Bali



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Indonezja – wiele cudownych krain w jednym państwie (Komodo i Bali)

Sierpień 2024 r.

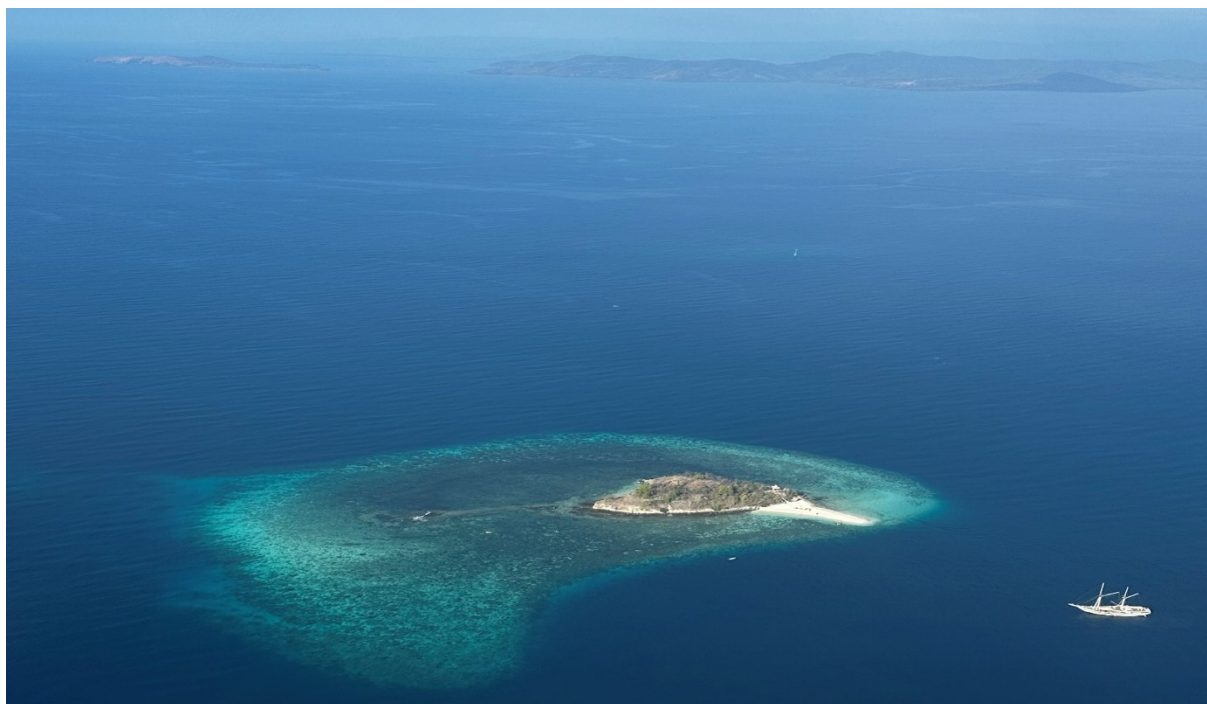
Przyszła chwila, kiedy moje stopy miały stanąć na wyspie smoków - Komodo! Żeby jednak tak się stało, dotarłem na jedną z wysp należącą do archipelagu Małych Wysp Sundajskich Wschodnich (archipelag należy do Indonezji, oprócz Timoru Wschodniego, który jest niezależnym państwem) - mowa o wyspie Flores, która graniczy od południowego wschodu z wyspą Timor, na zachodzie z Sumbą, a na północy z Celebes. Nazwa tej niewielkiej wyspy (pow. 14 273 km², liczba ludności ok. 1 831 000) została nadana przez Portugalczyków - "flores" w języku portugalskim oznacza dosłownie "kwiaty". Wyspa Flores ma długość 360 i szerokość od 12 do 70 kilometrów, znaleźć można na niej wiele pól ryżowych, a także kilkanaście wulkanów - powierzchnia wyspy jest górzysta. Bardzo ciekawym zjawiskiem, które ma miejsce na jednym z wulkanów - Kelimutu, są trzy kraterowe jeziora, których woda zmienia barwę - bywa niebieska, zielona, czerwona, biała lub brązowa, a wszystko zależy od zachodzących w niej reakcji chemicznych.

Samolot wylądował na lotnisku na wyspie Flores, w miejscowości Labuan Bajo, wszelkie procedury dla lotu wewnątrz krajowego odbywały się bardzo sprawnie, nie musiałem ani chwili oczekiwać w kolejkach. Podczas lotu zamarzyłem prawie na kość! W pewnej chwili wyciągałem z bagażu podręcznego dwa lekkie swetry z wełny merynosa i założyłem je na siebie - chciałem uniknąć ponownej infekcji, która mogłaby mi utrudnić pełne doświadczanie podróży. Obsługa lotu po niedługim czasie podwyższyła temperaturę na pokładzie i wszyscy pasażerowie wyraźnie odetchnęli z ulgą - nie tylko ja odczuwałem dyskomfort termiczny.

Lotnisko w Labuan Bajo było niewielkie, znajdowały się w nim stoiska lokalnych biur wycieczek - popytałem w niektórych o dostępne wycieczki, ale wszystkie były jednodniowe - dwudniowe zostały już wykupione. Jak to zwykle bywa, zamówienie taksówki było trudne, a kiedy już się udało, przepłaciłem za pierwszy kurs. Kierowca zawiózł mnie do domu lokalnych mieszkańców, wynajmłem pokój w systemie tzw. homestay, który jest alternatywą dla wynajmowania pokoju w hotelu czy pensjonacie, a pozwala na poznawanie lokalnych zwyczajów życia. Dom moich gospodarzy znajdował się 4 kilometry od plaży, było w nim kilka pokoi na wynajem dla turystów. Poczułem się totalnie swojsko - wokół mnie przechadzały się z wolna kury, koguty, świny chrumkały i mlaskały - taki klimat rozumiem! Prędko się odświeżyłem, zamówiłem GrabTaxi i pojechałem do centrum miasta, które leżało nad piękną zatoką z portem. Byłem gotów na poznawanie nowego miejsca!

Centrum Labuan Bajo wyglądało (moim okiem) nareszcie jak trzeba - w urokliwych, ale jak to na Indonezję przystało - chaotycznych, uliczkach było mnóstwo kawiarni i restauracji, w których każdy mógł szukać czegoś dla siebie. Znalazłem sporo niewielkich biur podróży, jednak do którego bym nie zawitał, ponownie do wyboru były tylko jednodniowe wycieczki - te na dwa bądź więcej dni były wykupione. Postanowiłem jednak się nie poddawać i w końcu znalazłem ofertę dwudniowego rejsu - dokonałem transakcji opiewającej na 2 000 000 IDR (około 500 złotych) z Indonezyjczykiem, jednak nie obyło się to bez obaw z mojej strony - biuro wyglądało dość skromnie, stąd miałem nadzieję, że rejs faktycznie dojdzie do skutku.

Wieczorem pospacerowałem po mieście i skupiłem się na robieniu zdjęć i obserwowaniu życia mieszkańców. Między głównymi uliczkami działał się istny labirynt wąskich ścieżek i przesmyków, gdzie po zapadnięciu zmroku spacerowały ogromne szczury (od razu przyszło mi do głowy żartobliwe określenie: "szczury wielkie jak psy"), niektóre były umaszczone szaro-czarno, co zwracało uwagę. Zacznych rozmiarów gryzonie nie obawiały się ludzi, jeden z nich spacerował około 1.5 metra ode mnie. Tak oto moi szanowni Czytelnicy wygląda Malezja i Indonezja - miejsca, w których bywają turyści są urokliwe i ładne, a tam, gdzie żyją lokalni mieszkańcy panuje chaos, brud, śmieci zalegają hałdami na ulicach, opływają je ścieki, a w tym wszystkim harcują gryzonie i inne zwierzęta. Dla osoby, która spodziewa się samych rajskich widoków rodem z folderów reklamowych, rzeczywistość może okazać się nie lada szokiem. Sprawa ma się zupełnie inaczej w Tajlandii, która pozostaje niedoścignionym wzorem dla pozostałych państw regionu.











Zdjęcia 74-78

Po obejściu centrum miasta i przyległości, zamówiłem taksówkę i wróciłem do mojego sielskiego pokoju, w którym jednak nie można było otworzyć okna - nie spałem dobrze, marząc o odetchnięciu rześkim, nocnym powietrzem. W Indonezji ogólnie mój sen nie zaliczał się do jakościowych - ciągle trapiły mnie infekcje górnych dróg oddechowych, zapewne przez ciągłe zmiany wilgotności i temperatur oraz klimatyzowane powietrza, a może to już ten wiek? Któż to wie! Rano obudziło mnie pianie kogutów i ujadanie psów, otwierałem oczy z myślami o moim dzieciństwie, które spędziłem na wsi - podobne dźwięki budziły mnie nader często, były to bardzo miłe wspomnienia. Odbylem obowiązkową sesję ćwiczeń i rozciągania, po czym udałem się na śniadanie. Mój posiłek był skromny, ale pożywny - jedno jajo sadzone, ryż z warzywami i kawa. Po zjedzeniu śniadania nie miałem okazji, żeby poleżeć i odpocząć choć chwilę - gospodarz rozbudowywał swój interes, a robotnicy, którzy wykonywali pracę tłukli się ze wszystkim niesamowicie głośno - wynająłem więc przy pomocy aplikacji Grab niewielki motocykl i udałem się do miasta. Zsiadłem z moto-taksówki wcześniej niż zakładałem, ponieważ zjeżdżając z góry miałem przed oczami wspaniałą panoramę na zatokę i zacumowane w niej mniejsze i większe jednostki pływające - widok był bajeczny! Po dotarciu do miasta

wpłaciłem zaliczkę za rezerwowany wczoraj rejs, trzy razy upewniając się, że faktycznie się odbędzie. Po opuszczeniu biura podróży udałem się na obowiązkowe podwójne espresso i lokalne piwko.

Dzień upłynął mi pod znakiem włóczenia się po miasteczku i odkrywania ciekawych miejsc. Szczególną uwagę poświęcałem biurom podróży, na okoliczność powrotu tutaj w większej grupie. Labuan Bajo było miastem, które utrzymywało się w całości z turystyki - było tutaj mnóstwo kawiarni, restauracji i jadłodajni, hoteli z każdej półki cenowej, mniejszych i większych biur podróży - dla każdego portfela znalazłaby się tutaj opcja. Zauważyłem, że powstawało wiele nowych baz noclegowych w postaci hoteli. Zdarzyło mi się wypić kawę z sokiem owocowym w jednym z bardziej luksusowych, którego taras widokowy wychodził na zatokę - bardzo relaksujące doznanie. Nawet w bardziej ekskluzywnych miejscach ceny są bardzo przystępne, a jakość oferowanych usług naprawdę wysoka. W każdym z miejsc, które odwiedziłem ludzie byli bardzo mili i uśmiechnięci, a obsługa rewelacyjna, co sprawia, że przyjemnie jest wydawać pieniądze w takiej atmosferze. Labuan Bajo jest naprawdę urokliwym miasteczkiem, któremu warto poświęcić jeden czy dwa dni na zwiedzanie. Bardzo mi brakowało takiego małomiasteczkowego luzu i spokoju, szczególnie po paru dniach z Dżakarcie czy wcześniej Bandar Seri Begawan w Brunei.





















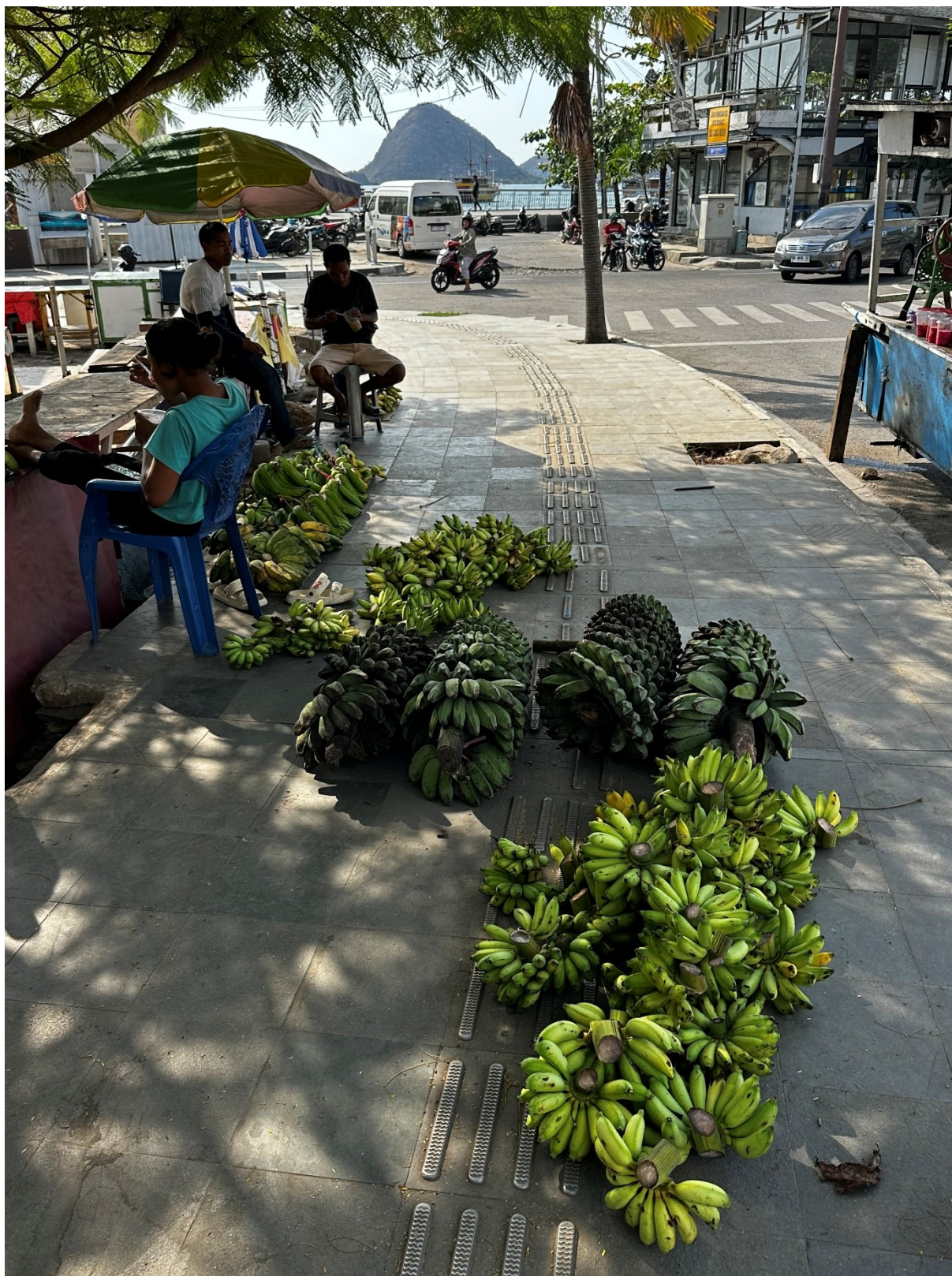












Zdjęcia 79-100

Kolejne dwa dni miały być decydujące w kwestii realizacji głównego celu przylotu na Flores - a była to wizyta na wyspie Komodo i zobaczenia żyjących, prehistorycznych smoków -

waranów z Komodo! Cały czas miałem wewnętrzne obawy czy aby rejs, który kupiłem jest tym, na co liczyłem - życie pokaże. Nadeszła wiekopomna chwila, która miała rozwiązać moje wątpliwości - o 9.30 (teoretycznie) miałem zostać odebrany przez auto z kierowcą, nie zdziwiłem się jednak, że nikt się nie pojawił, ot Indonezja. O 10.00 postanowiłem napisać wiadomość na numer kontaktowy, dostałem odpowiedź z przeprosinami i zapewnieniem, że za 5 minut mój transport się pojawi. Faktycznie! Podjechał po mnie pick-up z ławeczką na pace, na której podróżowałem dalej. W Polsce jazda w taki sposób byłaby niemożliwa ze względu na wątpliwe warunki bezpieczeństwa dla pasażerów, jednak tutaj to norma. Po drodze zgarnęliśmy jeszcze dwóch Hiszpanów - Luiego i Daniela, po czym zostaliśmy dowiezieni do jakiejś agencji turystycznej (zupełni innej niż ta, w której kupiłem rejs). System organizacji wycieczek w tym regionie świata polega na tym, że totalnie różne podmioty sprzedają, organizują i realizują wycieczki - nie mniej jednak jakoś to tutaj działa. Przez około 30 minut załatwialiśmy formalności, a później udaliśmy się do portu, gdzie każdy z uczestników odbijał otrzymany bilet z kodem kreskowym, po czym wchodził na statek, który (o dziwo!) wyglądał tak samo, jak na zdjęciu, które pokazywał mi Indonezyjczyk, u którego kupiłem rejs.











Zdjęcia 101-106

Statek nie wyglądał najlepiej, miał raczej niski standard, ale skonstatowałem w myślach, że dwa dni mogę spędzić w każdych warunkach. Kiedy wchodziłem na pokład, większość miejsc była zajęta przez innych podróżnych, pracownik wskazał mi miejsce pod pokładem. Tak szybko jak zszedłem na dół, wróciłem na górę - było tam niesamowicie duszno i gorąco. Poszedłem na najwyższy pokład, który od otwartego nieba oddzielała brezentowa płachta - ku mojej radości okazało się, że jest tam jeszcze jedno wolne łóżko, choć określenie "łóżko" było lekko na wyrost. Cekał na mnie materac z poduszką, co było dla mnie wystarczającym luksusem, szczególnie porównując to do istic saunowych warunków pod pokładem. Cekała mnie noc na świeżym powietrzu! Po około godzinie od mojego wejścia na statek, ruszyliśmy. Na pokładzie statku było około 20 pasażerów, w tym Australijczycy, Włosi, Hiszpanie, Chińczycy, Niemcy i Niderlandczycy. Najmilej wspominam młodego, niesamowicie sympatycznego Australijczyka - fana fotografowania, a także 64-letnią Hiszpankę, która podróżowała z nie mniej sympatyczną koleżanką. Rozmawiając z towarzyszami podróży okazało się, że każdy kupował bilety na rejs u innego sprzedawcy i otrzymywaliśmy rozbieżne informacje - Chińczycy myśleli, że kupili prywatny rejs, inni, że będzie około dziesięciu osób itp. Ja

niezmiernie się cieszyłem, że zapłaciłem za to, o czym marzyłem i czeka mnie dwudniowy rejs z nocą na pokładzie, podczas którego zobaczę słynne smoki z Komodo oraz majestatyczne manty!

Pierwszym przystankiem podczas rejsu była niewielka wysepka Kelor, która jest częścią Park Narodowego Komodo. Park, składający się z setek niewielkich wysp, jest jednym z 50 w Indonezji, został utworzony w roku 1980, a w 1991 wpisano go na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Powierzchnia obszaru chronionego obejmuje około 1817 km² (to jakby potroić powierzchnię Biebrzańskiego Parku Narodowego, który ma największą powierzchnię chronioną Polsce - 592,23 km²)! Największe wyspy, które leżą w obrębie parku, to Komodo, Padar oraz Rinca i to głównie wokół nich skupiony jest ruch turystyczny. Park Narodowy Komodo słynie z ochrony endemicznego dla tego obszaru gada - warana z Komodo, który nie występuje naturalnie nigdzie indziej na świecie.

Niewielka wyspa wygląda dosłownie jak niewielka górka skalna wystająca z wody, ale jakiej wody! Wyspę oblewają turkusowe, przejrzyste i spokojne wody Morza Flores. Kiedy opuściliśmy pokład statku, na wysepce zobaczyliśmy kilka punktów handlowych z pamiątkami, plażę, z której mogliśmy wejść do wody i posnurkować oraz ścieżkę na szczyt góry, z której rozpościerał się piękny widok na okolicę. Największą atrakcją były pojawiająca się co rusz niewielkie, mierzące około 70-90 centymetrów rekiny, które pływały dosłownie przy plaży. Niestety koralowce były w większości martwe, ale nawet wśród nich można było zobaczyć wiele ciekawych, kolorowych rybek.











Zdjęcia 107-113

Po odpoczynku na wysepce popłynęliśmy w dalszą część rejsu, ale na nasze nieszczęście pogoda uległa pogorszeniu - zrobiło się pochmurno i zaczął siąpić deszcz. Postanowiłem odpuścić sobie snurkowanie na kolejnym przystanku, ponieważ brak słońca negatywnie wpływa na widzialność pod wodą. Kilkoro uczestników rejsu postanowiło jednak spróbować szczęścia - kiedy weszli z powrotem na pokład, udaliśmy się dalej i płynęliśmy przez kilka godzin. Około 18.00, kiedy cumowaliśmy nieopodal przystani, na niebie pojawiło się tysiące ogromnych nietoperzy - rudawek malajskich, nazywanych też latającymi psami. Nietoperze te dorastają do około 30 centymetrów długości, mogą ważyć ok. 1.4 kilograma, a rozpiętość ich skrzydeł dochodzi nawet od 1.5 do 2 metrów! Rudawki malajskie są roślinożerne, ich dieta bazuje na kwiatach, nektarze i owocach (uwielbiają mango i banany). Obserwowałem nietoperze przez około 30 minut ciągle przelatywały nam nad głowami, musiały być ich naprawdę dziesiątki tysięcy! Kiedy moja uwaga przykuta była do obserwacji latających ssaków, a później zachodu słońca, załoga statku przygotowywała posiłek. Niestety miejsca przy stole nie było zbyt dużo, aby zjeść w komfortowych warunkach, a niektórzy pasażerowie zachowywali się tak, jak gdyby poza nimi nie było nikogo innego... W pamięci utkwiała mi szczególnie para młodych, bardzo otyłych Niderlandczyków, którzy nakładali sobie jedzenie przez dosłownie 10 minut, całkowicie blokując tą możliwość dla współpasażerów... Ich zachowanie było absolutnie egoistyczne i prostackie. Z moich doświadczeń zawodowych wiedziałem, że bywają oni bardzo "wyliczeni", ale wiedzieć to jedno, a zobaczyć w praktyce - drugie. W Polsce takie zachowanie określić można jedynie w kategorii "nie do przyjęcia".







Zdjęcia 114-116

Po kolacji, kiedy nastała noc, płynęliśmy jeszcze przez parę godzin, aż znaleźliśmy się w rejonie wyspy Padar - trzeciej względem wielkości wyspy w Parku Narodowym Komodo, na której mieliśmy zaplanowaną wspinaczkę. Noc na statku minęła spokojnie, choć musiałem włożyć w uszy stopery - silniki pracowały przez całą noc, co bez zatyczek w uszach byłoby dla mnie bardzo uciążliwe. Mimo, że do okrycia miałem jedynie skromny, cienki kocyk - spało mi się bardzo komfortowo. Jakież było moje zdziwienie, kiedy o 4.30 ogłoszona została pobudka wraz z informacją, aby szykować się do wspinaczki. Na dziesiątkach innych, zakotwiczonych wokół statkach również widać było zaczątki porannej krzątaniny. Po zejściu na ląd, w całkowitych ciemnościach, wspięliśmy się po około 1000 stopni schodów, które wiodły skalną i drewnianą ścieżką. Po drodze minęliśmy któregoś przedstawiciela gatunku jeleniowatych, który pał się przy samej ścieżce, wcale nie zwracając na nas uwagi. Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, zobaczyłem setki osób, stojących w różnych miejscach, w oczekiwaniu na wschód słońca. Miejsce było naprawdę urokliwe, pomyślałem, że widząc podobne ujęcia fotograficzne w Internecie, myślimy: "Kurczę! Jak pięknie, autor zdjęcia miał niezwykle szczęście, że był sam w tak wspaniałym momencie i miejscu!". Nic bardziej mylnego - setki,

a czasem tysiące osób dosłownie walczą z innymi o lepsze ujęcie, czasem ryzykując to możliwością utraty zdrowia, a nawet życia. Przez globalizację i chęć zaistnienia w social mediach naprawdę trudno jest być samotnikiem w pięknych miejscach, nie mniej jednak ja takich właśnie staram się szukać najbardziej. Około 6.00 podziwialiśmy więc wschód słońca, który - co by nie mówić, był naprawdę fenomenalny i warto było zerwać się o tak wczesnej godzinie, aby go zobaczyć. Słońce wstaje tutaj bardzo dynamicznie, dlatego szybko poszybowało ponad horyzont, ukazując całe piękno miejsca, w którym się znajdowałem. Mimo obecności naprawdę wielu osób, każdy miał chwilę, aby znaleźć odpowiednią ilość miejsca na kilka ujęć pamiątkowych. Na niebie wisiały jeszcze chmury, które z jednej strony trochę "psuły" doznania, ale z drugiej dodawały porannemu spektaklowi słońca więcej tajemniczości. Poniżej naszych oczu widać było dużą zatokę, w której cumowało kilkadziesiąt łodzi - nie zdążyliśmy się jednak nią napawać tak długo jak byśmy potrzebowali - nasi opiekunowie nalegali, aby schodzić - trzeba płynąć dalej. Rozumiałem ich - sam organizuję przecież wyjazdy z gośćmi i wiem, jak ważne jest pilnowanie czasu.

















Zdjęcia 117-131

Kolejnym punktem "stop" podczas rejsu było snurkowanie w tzw. Pink Beach, które znajdowało się z innej strony wyspy Padar niż to, z którego przyszło nam obserwować wschód słońca. Miejsce było naprawdę cudownie piękne - rafy koralowe zachwycały, a ilość wszelkich kolorów ryb dosłownie onieśmielała każdego obserwatora. Kolejny raz podczas tej podróży

żałowałem, że nie mam profesjonalnego sprzętu do fotografii podwodnej. Australijczyk, o którym wspomniałem, miał porządny futerał wodoszczelny, dzięki czemu nie obawiał się zalania telefonu. Pod wodą na początku silnie wyczuwalny był dość wartki prąd, żeby nie zniosło nas daleko od statku, trzeba było pływać kraulem (i to całkiem dynamicznie!). Sceneria pod wodą była znacznie ciekawsza nawet od tej, którą obserwowałem w Malezji. Woda była zasolona w takim stopniu, że wystarczyło nabrać haust powietrza do płuc, co pozwalało bez wysiłku utrzymać się na powierzchni i obserwować podwodny świat.

Co ciekawe - nikt na statku nie dbał o warunki bezpieczeństwa, żadne z nas nie miało kamizelki ratunkowej - Indonezyjczycy nie zwracają sobie głowy takimi małostkami.



Zdjęcia 132-133

Kolejnym przystankiem rejsu miały być wyspy Padar oraz Komodo, na których można obserwować endemiczne jaszczury. Za wstęp na wyspy zapłaciliśmy po 500 000 IDR od głowy (około 125 zł). Na spotkanie z waranami mieli nas zabrać lokalni strażnicy parkowi (park rangers), wszystko miało być ogromnym doświadczeniem dla turystów - tyle jeśli chodzi o obietnice, a także moje oczekiwania i wyobrażenia. Jak wyglądała rzeczywistość? Po dopłynięciu do głównej wyspy Komodo (wokół jest kilka wysepek o tej samej nazwie), później dojechalismy do wioski Komodo, w której znajduje się początek szlaku do parku narodowego. Na miejscu, jeszcze przed wejściem na ścieżkę, panował niemały chaos - mieliśmy aż 4 przewodników, ktoś mówił coś bez ładu i składu o dostępnych trasach i ich długościach, nikt nie wiedział o co chodzi organizatorom. Otaczały nas stoiska, na których wystawach były te same rzeczy - drewniane figurki przypominające warany, manty, koszulki z ich podobiznami i inne kurzołapy.

Po kilkunastu minutach rozgardiaszu ruszyliśmy przez wieś, co było ciekawe - mieliśmy okazję podpatrzeć życie jej mieszkańców, co zawsze bardzo cenię. Po około 200 metrach dotarliśmy do miejsca, w którym rosło parę drzew, w cieniu których odpoczywały sobie ogromne jaszczury, które wyglądały jak rzeźby, ale były żywymi, potężnymi jaszczurami! Zebraliśmy się wokół jednego z gadów, przyjrzelismy, zrobiliśmy parę zdjęć. Nie mogłem nadziwić się, że waran był spokojny jak śpiące jagnię - pewnie przywykł do ludzi, a lokalsi karmili go, żeby przychodził tak blisko zabudowań. W pewnej chwili jeden z jaszczurów wstał, podszedł do drugiego - obydwie się zaktywizowały, strażnicy powtarzali nam, aby się do nich nie zbliżać, choć jeden z nich robił gadom zdjęcia z odległości około 1.5 metra.

Poszliśmy dalej i po około 50 metrach, pod kolejnym drzewem wylegiwały się trzy kolejne warany, po kolejnych 150 metrach spaceru spotkaliśmy dwa młode osobniki, które uciekły na nasz widok. Strażnik parkowy powiedział nam, że kanibalizm wśród waranów jest normalnym zjawiskiem, a starsze osobniki często polują na młode, które często wspinają się wtedy na drzewa. Strażnik opowiadał, że pewna dziewczynka z wioski została ugryziona w rękę przez warana, przewieziono ją do szpitala w Labuan Bajo, gdzie amputowano jej kończynę powyżej miejsca ugryzienia - nie dowiedziałem się jednak czy przeżyła.

Warany z Komodo są największymi na świecie jaszczurkami - dorosłe samce mogą osiągać długość 2.6 metrów i ważyć do 90 kilogramów, samice mierzą nawet do 2.3 metrów, a ważą do ok. 70 kg. Księga Rekordów Guinnessa wskazuje, że największym (dokładnie zmierzonym) waranem z Komodo był samiec z wyspy Sumbawa, który w 1937 roku był pokazywany z ZOO

w St. Louis (Missouri, USA) - mierzył 3.10 m. i ważył 166 kilogramów. Jaszczury dożywają około 50 lat i - co ciekawe - mogą rozmnażać się partenogenetycznie, czyli poprzez dzieworództwo.

Szczęki gadów są przystosowane do rozrywania i porcjowania mięsa, licząc sobie 60 zębów, z których najdłuższe mają nawet 2 centymetry długości. Co ciekawe, warany zabijają swoje ofiary nie szczękami, a śliną, w której jest ponad 50 różnych szczepów bakterii i toksyny. Jeśli ofierze warana uda się uciec, a zostanie raniona - umrze w ciągu maksymalnie kilku dni z powodu zakażenia bakteriami i od toksyn ze śliny. Waran nie goni ranionej ofiary - podąża wolno jej tropem, a kiedy ta pada z wycieńczenia i zakażenia, zjada ją.

Wróćmy do parku - ponownie przeszliśmy 100 metrów i znaleźliśmy się "przypadkiem" przy dużym straganie z pamiątkami (tymi samymi, które oferowano w wiosce), zlokalizowanym w cieniu drzew. Mało kto był zainteresowany zakupami, ale musieliśmy odstać tam swoje, po czym przewodnicy ruszyli z nami na powrót do wioski i portu. Miałem wrażenie, że lokalsi żyją naiwną ideą, jakoby turyści byli bardzo mało inteligentni, dlatego podstawienie nakarmionych i ospałych waranów i kilku straganów wystarczy, aby poczuli się usatysfakcjonowani pobytem w parku. Podczas naszej "wyprawy" pokonaliśmy pieszo około 900 metrów, zatrzymaliśmy się w trzech miejscach z waranami, a minęliśmy pięć punktów z pamiątkami. Jedna z Hiszpanek wspomniała, że była w tym samym miejscu 20 lat wstecz - była tutaj tylko chatka strażników, żadnej wioski i oklepanych straganów wtedy nie doświadczyła. Dziś wioska jest duża, wokół domostw panuje ogromny bałagan i wszędzie są śmieci, a atmosfera skupiona jest na obławianiu się na turystach... Szkoda. Wiem, że prowadzenie tysięcy turystów do parku jest wyzwaniem - każdy przecież ma oczekiwania, płaci za zobaczenie prehistorycznych jaszczurek na żywo, ale po co robić wokół tego taki cyrk i nazywać to "wyprawą"? Nie potrafię zrozumieć, dlaczego mieszkańcy tego regionu świata nie potrafią utrzymywać wokół siebie porządku - mogliby uczyć się tego na przykład od Rwandyjczyków, którzy wiodą prym wśród najczystszych narodów świata.

Podsumowując - byłem zdegustowany organizacją całego wydarzenia, ale czułem też zadowolenie, że miałem okazję zobaczyć na własne oczy warany z Komodo.

























Zdjęcia 134-151

Po powrocie z "wielkiej wyprawy" na pokład statku, płynęliśmy przez około dwie godziny i zacumowaliśmy w miejscu, gdzie było wiele łodzi i nurków oraz snurków. Dopłynęliśmy do miejsca, w którym zobaczyć można manty rafowe, nazywane również diabłami morskimi. Wielkość tych wspaniałych płaszczyk oscyluje między 3-5 metrów długości i rozpiętością płetw sięgającą zazwyczaj 7 metrów (zdarzają się osobniki z rozpiętością płetw wynoszącą nawet 9 metrów)! Diabły morskie ważą zwykle około 2 ton, choć zdarzają się cięższe osobniki. Ogon mant nie ma kolca, a charakterystyczne dla gatunku są płetwy głowowe, znajdujące się przy głowie. Manty żywią się głównie planktonem oraz niewielkimi rybami.

W miejscu, w którym zacumowano nasz statek, była dość duża fala - obsługa radziła więc, że jeśli ktoś nie pływa dobrze, to lepiej dla niego/niej, jeśli pozostaną na pokładzie i nie podejmą ryzyka porwania przez prąd bądź fale. Ponownie dziwiłem się dość niewielką dbałością o warunki bezpieczeństwa - mieliśmy snurkować z niewielkiej motorówki, wiał wiatr, fala była konkretna, wokół cumowało mnóstwo innych jednostek, z których pasażerowie snurkowali... o zagubienie się wcale nie było trudno. Motorówka, która podrzuciła nas na miejsce

snurkowania była mała i nie mieściła wszystkich chętnych z naszego statku - pierwsza grupa, w której byłem, została pozostawiona w wodzie, a sternik odpłynął. W mojej wyobraźni były już sceny "odnajdywania" wszystkich uczestników przy odbiorze, nikt oczywiście nie miał kapoka. Popływałem chwilę, widziałem kilka pięknych mant - te zwierzęta są niesamowicie majestatyczne. Nie mogłem jednak skupić się całkowicie na obserwacji podwodnego świata, bo zastanawiałem się jak wrócę w okolicę skąd weszliśmy do wody. Widziałem, że wiele osób rozgląda się z dezorientacją, poszukując miejsca podebrania przez sternika motorówki. Proces utrudniało słońce, którego promienie odbijały się of tafla falującej wody, utrudniając wypatrywanie towarzyszy... W pewnym momencie jeden z Chińczyków zaczął mieć trudności z pływaniem, co poddenerwowało resztę grupy, choć nie było ponad połowy osób, które weszły do wody, co dodatkowo podbijało stresującą już sytuację. Chwilę później, młody Australijczyk wraz ze mną wzywaliśmy pomocy - młody Chińczyk nie mógł płynąć, chcieliśmy więc, żeby jakakolwiek łódka go podjęła, bo nie mieliśmy pojęcia, gdzie znajduje się nasza. Zresztą wołający o pomoc dla kolegi Australijczyk też nie wyglądał, jakby miał siłę nadal utrzymywać się na powierzchni, a w jego ręku był telefon w wodoszczelnej oprawie, przez co nie mógł efektywnie utrzymywać się na powierzchni. Wyobraźcie więc sobie - nie ma z nami ponad połowy grupy, a dwóch mężczyzn z trudnością utrzymuje się na powierzchni, nikt nie ma kapoka, ani kontaktu z naszymi opiekunami... Słabnący Chińczyk został w pewnym momencie wyciągnięty z wody na jedną z pobliskich łódek, a nas (na szczęście) niedługo później odnalazł sternik naszej motorówki i podjął z wody. Wracając na pokład naszego statku, zgarnęliśmy przyjaciela z Chin, który nieco odzyskał siły. Kiedy wsiedliśmy na pokład, sternik udał się na poszukiwanie reszty pasażerów - scenariusz naprawdę karkołomny! Okazało się, że resztę grupy przejął sternik innej łódki, bo też opadali z sił... Nie tylko ja miałem refleksję, że to cud, że nikt z nas nie utonął w morzu lub nie zaginął! Nasz statek kotwiczył może około 200 metrów od miejsca w którym weszliśmy do wody, aby obserwować manty, ale prądy i fale znosiły nas w różnych kierunkach, nikt nie miał pojęcia, gdzie jest po wynurzeniu z wody. Pomyślałem, że może widziałem wspaniałe manty, ale tak dla mnie, jak i pozostałych towarzyszy z rejsu, mogło to być ostatnie doświadczenie w życiu.

Po obserwacji mant pozostało nam już tylko udanie się do portu w Labuan Bajo, co zajęło około 4.5 godziny. W porcie byliśmy około 19.30, nie było żadnego wolnego miejsca, w którym statek mógłby zacumować przy pomoście, sternik przybił więc do innego statku i "na partyzanta" przez pokład innej jednostki - wypakowaliśmy się na ląd. Po takich przeżyciach uznałem, że należy mi się mocna kawa i piwo - tego było mi trzeba!

Ogólnie rzecz ujmując, byłem zadowolony ze sposobu, w jaki spędziłem ostatnie dwa dni - były bez pośpiechu, spokojne (choć towarzyszyły mi różne emocje, często skrajne). Wiele biur podróży, które odwiedziłem, oferuje podobne wycieczki jednodniowe (okrojone o nocleg, obserwację nietoperzy i wschód słońca na wyspie Padar), które organizowane są na szybkich łodziach motorowych. Wolałem jednak przeżyć wszystko to, co przeżyłem (na szczęście!) w spokojniejszym trybie, uznając, że jest to idealna opcja dla jednej, zorganizowanej grupy osób, które się znają.





Zdjęcia 152-154

Kolejnego dnia rano musiałem się spakować, zjadłem marnej jakości śniadanie, wypilem nie lepszą kawę i zamówiłem moto-taxi, którą udałem się na lotnisko. Dlaczego wspomniałem wcześniej, że płaciłem frycowe podczas podróży z lotniska? Pierwszego dnia na Flores kosztowało mnie to 100 000 IDR (niecałe 25 złotych), a teraz... 18 000 IDR, czyli niespełna 4.50 zł. Przeliczając wszystko na złotówki, pierwsza podróż i tak nie kosztowała mnie wiele, ale lotniskowi naciągacze są zmorą na całym świecie. Porównując - na Flores zapłaciłem na czterokilometrowej trasie lotnisko-centrum 25 złotych, a w Dżakarcie za podróż na odcinku 35 kilometrów - 32 złote.

Po wejściu na lotnisko nie miałem na szczęście żadnych niespodzianek - lotnisko było lokalne i dobrze zorganizowane. Punktualnie w południe wystartował samolot, który kierował się ku wyspie Bali - miałem w planie odkrywać najbardziej popularną wyspę Indonezji, która jednocześnie stanowi świetną bazę wypadową na inne wyspy.























Zdjęcia 155-169

Lotnisko na Bali w porównaniu do Labuan Bajo było gigantyczne. Pas startowy niemal wchodził w morze, mały błąd pilota może okazać się więc nieprzyjemnym wypadkiem przy starcie czy lądowaniu. Budynek lotniska nawiązuje do buddyjskich tradycji, wykończenie było bardzo spójne i ładne. W terminalach kręciły się tłumy ludzi przylatujących i wylatujących z wyspy. Kiedy zgarnąłem z taśmy mój bagaż, zamówiłem TaxiGrab i udałem się do hotelu, który usytuowany był przy dość ruchliwej i głośnej uliczce. Obawiałem się, że hałas z ulicy nie pozwoli mi się wypaść, jednak pokój okazał się być świetny! Już z taksówki zdążyłem zauważyć, że ruch na ulicach jest naprawdę spory, wokół pędziło mnóstwo głośnych skuterów oraz aut. Po zameldowaniu się w hotelu, odpocząłem chwilę i udałem się na rekonesans po okolicy i zdążyłem dojść na plażę w momencie zachodu słońca, któremu towarzyszyły bardzo wysokie fale - wyglądało to zjawiskowo!

Przy linii plaży z ustawionymi parasolkami, leżakami i krzesłami do wypoczynku, które ciągnęły się kilometrami, biegła ruchliwa droga. Po jednej stronie drogi znajdowały się tysiące małych punktów handlowych (na każdym były setki figurek, breloczków czy koszulek z mini-

perełkami balijskiej kultury - ołtarzami, świątyniami itp.), a średnio 1 na 6 stanowiło studio tatuażu. Już sama obserwacja ilości elementów wokół mnie pozwoliła mi stwierdzić, że będzie tutaj dosłownie tłum turystów - nie miałem względem Bali zbyt wygórowanych oczekiwań, to miejsce prawdopodobnie nie "w moim stylu", choć naiwnie spodziewałem się wcześniej, że atmosfera będzie bardziej kameralna. Przy plaży napotkałem na gigantyczny ośrodek wypoczynkowy, którego większość gości stanowili Brytyjczycy i nie wyglądali oni niestety na przedstawicieli elitarnej klasy społecznej. Nie jestem fanem wyrażania opinii, ale uwierzcie mi, że tysiące otyłych i zaniedbanych pod każdym względem, wulgarnych, głośnych, pijanych i wytatuowanych ludzi powodowało u mnie mieszkankę dyskomfortu, odrzucenia i wstydu za gatunek ludzki. Poczułem, że jestem nie na miejscu i miałem ochotę jak najszybciej opuścić to miejsce - bańka Bali, przynajmniej dla mnie, pękła z wielkim hukiem - pierwsze wrażenie miałem bardzo na NIE. Mimo to, doświadczyłem zbyt mało, aby jakkolwiek oceniać ten niedoszły raj. Podczas spaceru zauważyłem, że standard hoteli jest tutaj przeróżny - od średnich, podobnie jak wybrany przeze mnie, przez naprawdę szemrane, aż do wspaniałych resortów, które tonęły w zieleni i były wspaniale wykończone. Na każdym kroku dominowały stragany ze średniej jakości pamiątkami, odzieżą, salony tatuażu i masażu - wszystko tutaj kręciło się wokół turystów.

Dopiero kolejnego dnia natknąłem się na naprawdę piękny pokaz muzyczno-taneczny, który ukazywał bogatą kulturę i historię Balijszyków. Wstęp na wydarzenie kosztował 150 000 IDR, co stanowiło równowartość około 40 złotych, a połowa miejsc i tak była pusta... Przykre, tym bardziej, że dosłownie kilkanaście metrów wcześniej mijałem duże grupy anglojęzycznych mężczyzn z akcentem brytyjskim, którzy wyglądali i zachowywali się, jakby pili właśnie setne piwo bez żadnych przerw. Odnosiłem wrażenie, że ci ludzie nie wiedzą gdzie są, czego mogą tutaj doświadczyć - liczyło się tylko to, żeby pochłaniać fast food i żłopać tanie piwo na plaży, bekając przy tym donośnie... Miałem nadzieję, że na wyspie są piękne miejsca, które zobaczę w trakcie następnych dwóch dni, które miałem w zamiarze tutaj spędzić.









Zdjęcia 170-174

Rankiem, drugiego dnia pobytu, chciałem odebrać zarezerwowany skuter, co jednak zostało poprzedzone ożywioną dyskusją z obsługą w recepcji hotelu - żądano, abym pozostawił

"w zastaw" swój paszport! Stanowcza wymiana zdań z recepcjonistą wywabiła z pokoju menedżer hotelu, którą zapytałem w jakim celu chcę zabrać mój jedyny dokument tożsamości, którym jest paszport, skoro w hotelowym pokoju znajdują się wszystkie moje osobiste bagaże, a podczas meldowania wykonano kserokopię pierwszych stron paszportu. Pani menedżer, widząc mój upór, zrezygnowała z prowadzenia dalszej dyskusji i mogłem w końcu wyjechać skuterem w poszukiwaniu oblicza Bali, które odmieni moje negatywne pierwsze wrażenie.

Wyznaczyłem sobie azymut ba południowy wschód od miasta-stolicy prowincji Bali - Denpasar i ruszyłem przed siebie. Zanim odpaliłem maszynę, poprosiłem chłopaka z obsługi hotelu, aby zatankował zbiornik do pełna, za co dałem mu dwa dolary - nigdy nie zrozumieć przekazywania pojazdów na wynajem z pustym bakiem... Zamiast jechać przed siebie, nieznający miasta człowiek szuka w emocjach najbliższej stacji paliw, a często po chwili pcha skuter, bo paliwa nie było wcale. Moja logika wskazuje, że jeśli dostałbym zatankowany do pełna pojazd, oddałbym go również w takim samym stanie, ale być może jestem samotny w takim myśleniu. Być może lokalsi chcą "odzyskać" paliwo, które zostało po wynajmie przez turystów i spuszcza je przy pomocy wężyków do baniek i sprzedają drugim obiegiem? Nie mam pojęcia!

Przez pierwsze kilkanaście minut obserwowałem lokalnych kierowców i dostosowywałem się do warunków jazdy - był to raczej styl bez żadnych zasad, dynamiczny, zarówno po lewej jak i prawej stronie jezdni, bez względu na obrany kierunek. Po upływie 45 minut jazdy chciałem zrezygnować z kontynuacji tego karkołomnego zadania i oddać skuter - korki były wszędzie, oddychałem śmierdzącym spalinami powietrzem, hałas silników, klaksonów i pokrzykiwań kierowców przyprawiał mnie o ból głowy - nijak nie pasowało to do idyllicznych obrazów Bali, które kreowane są w mediach przez "influencerów" i celebrytów wszelkiej maści. Na moje szczęście, po przejechaniu kolejnych 30 kilometrów ruch zelżał i mogłem odetchnąć świeższym powietrzem. W mijanych przeze mnie miejscowościach widać było bardzo dużą ilość hinduistycznych świątyń, które często były bardziej okazałe i budowane z lepszej jakości materiałów niż budynki mieszkalne. Od czasu do czasu zatrzymywałem się, parkowałem skuter i przyglądałem się lokalnej infrastrukturze, wykonując zdjęcia. Na chodnikach poustawiane były niewielkie koszyczki z jedzeniem, które mieszkańcy pozostawiali duchom lub bogom. Podczas jazdy mijalem wiele pól ryżowych, ułożonych wąsko, w długich polderach.





















Zdjęcia 175-191

W końcu dojechałem do miejsca, gdzie morze było już bardzo blisko drogi. Znalazłem na mapie jakąś restaurację, bo był czas już coś zjeść. Kiedy dojeżdżałem na miejsce, zauważyłem wiele pochowanych i spokojnych Villi czy hotelików. Piękne zielone tereny, ryżowiska, prawdziwa wieś, zwierzęta domowe, no i oczywiście turyści, ale już nie masowi, widać, że tacy którzy szukają spokoju i kontaktu z przyrodą i lokalną społecznością. Nie do końca rozumiem, po co lecieć z Wielkiej Brytanii wiele godzin, aby cały dzień tylko walić piwsko i jeść dokładnie takie same podłe jedzenie jak w Wielkiej Brytanii. Chyba, że chodzi, żeby przez chwilę poczuć się bogatym, przy cenach balijskich.

W końcu udało mi się, w płataninie wąskich uliczek, znaleźć restaurację, która znajdował się w Resorcie. W resorcie, składającym się w wielu małych budyneczków, fenomenalnie położonych na górkach, był dostęp do małej czarnej plaży, o nazwie Tajemnicza Plaża. Dodatkowo cały resort był położony wyraźnie wyżej niż plaża, na końcu resortu był mały punkt widokowy. Może tylko, ze względu na porę suchą, nie było aż tak zielono, jakby człowiek chciał. W pięknych okolicznościach przyrody i w spokojnym ośrodku zjadłem sobie obiad, oczywiście zdrowo, czyli ryba, warzywa i sok, tym razem z czerwonego smoka. Kawa espresso oczywiście także była. Niestety miałem już mało czasu na relaksowanie się, a chciałem wrócić za dnia, aby w tym szaleństwie na drodze nie doznać jakichś strat.

Postanowiłem jeszcze pojechać kawałek dalej zobaczyć, jak droga biegnie wdróż morza. Rzeczywiście na miejscu zobaczyłem, że ten kierunek to był dobry pomysł. Jadąc po lewej stronie miałem czarne plaże, przy których trochę wyżej pobudowane były restauracje, aby klienci w trakcie konsumpcji mieli piękny widok na morze. Po prawej stronie natomiast, położone były wsie i dalej droga prowadziła pod górę w kierunku dżungli. Miałem jeszcze odrobinę czasu, więc skręciłem w jedną z nich. Oczywiście wieś znowu wyglądała jakby wymieszać świątynie z domami mieszkalnymi. Droga prowadziła wyraźnie pod górę, po przejechaniu przez wieś, jechało się już przez las. Po paru minutach było się już w prawdziwym lesie naturalnym, z którego po podjechaniu na górę, roztaczał się piękny widok na morze i czarne wulkaniczne plaże. Szkoda tylko, że drzewa przysłaniały całą panoramę i utrudniały zrobienie fajnych zdjęć. Niestety nie mogłem kontynuować podróży, ze względu na późną porę, miałem jeszcze 70 km do powrotu, co skuterkem w korkach zajęło mi ponad 2,5 godziny. Trochę żałowałem, że nie wybrałem się na dwa dni, z noclegiem w terenie. Kiedy wracałem, na drodze było prawdziwe szaleństwo, mój mózg pracował jak szalony. Wyprzedzanie z lewej, z prawej, jazda na czerwonym, ignorowanie znaków wydawanych przez Po kolejnej godzinie jazdy, nadal dość dynamicznej i wymagającej maksymalnego skupienia uwagi, wokół mnie zaczęło

być coraz bardziej zielono i dziko - droga prowadziła przez plantacje palm, pola ryżowe, które poprzecinane były małymi, ale naprawdę uroczymi wioskami, do których prowadziły drogi, odbijające od głównej, którą się poruszałem. Postanowiłem skręcić w jedną z drózek, przy której spotkałem dość dużą grupę Balijszczyków ubraną w tradycyjne stroje. Kobiety i mężczyźni ubrani byli niemal identycznie - Panie miały ten sam kolor bluzek i spódnic, mężczyźni również nosili takie same koszule i spodnie, ale różnili się różnokolorowymi nakryciami głowy. Za pasami męskich odzień pyszniły się tradycyjne noże. Jeden z mężczyzn zatrzymał mnie ruchem dłoni i zapytał kim jestem i co tutaj robię - widać niewielu turystów postanawia udać się w głąb wyspy i eksplorować lokalność. Chwilę rozmawialiśmy i okazało się, że w wiosce są akurat zaślubiny młodej pary! Wjechałem do wioski i pierwsze wrażenie, jakie odniosłem - wjeżdżam na luksusowy cmentarz, który stworzony jest z bardzo jakościowych pomników! Dopiero po chwili uważnej obserwacji zauważyłem, że obok pomników są domy, zaparkowane auta, tu i ówdzie krzątają się mieszkańcy, a nagrobki-pomniki to świątynie... Dobrze sobie, moje pierwsze wrażenie było naprawdę dziwne! Po drodze zatrzymywałem się i robiłem dużo zdjęć, skupiając się na świątyniach i polach ryżowych, które działają uspokajająco. W pewnej chwili wjechałem do innej wioski po niewielkim, wiszącym moście i nagle znalazłem się nad morzem! Plaża, na której nie było absolutnie nikogo, była czarna, zauważyłem jedynie trzech wędkarzy, którzy łowili ryby mimo dość wysokich fal. Miejsce było absolutnie dzikie, lokalne i piękne - w końcu! Na brzegu zauważyłem trzy niewielkie bary, gdzie można było coś przekąsić, napić się wody i kokosowej prosto z orzecha czy skosztować kawy, z ostatniej opcji skorzystałem bardzo chętnie i przy okazji poprosiłem o podłączenie mojego telefonu do ładowarki. Miejsce było naprawdę piękne i stanowiło bardzo potrzebne mi odwrócenie od wczorajszych doświadczeń z tabunami pijanych ludzi w okolicy Denpasar.



















Zdjęcia 192-204

Po naładowaniu telefonu i wypiciu kawy pojechałem w dalszą podróż i udało mi się dojechać do miejsca, gdzie morze było bardzo blisko drogi. Na mapie znalazłem restaurację - w brzuchu już mi lekko burczało, był najwyższy czas na posiłek. Podczas dojazdu do restauracji zauważyłem wiele willi i hotelików ukrytych w zieleni drzew i zarośli. Teren był naprawdę pięknie zielony, wszędzie były mniejsze i większe pola ryżowe, wioski, zwierzęta gospodarskie i oczywiście turyści, ale zgoła inni niż ci, których tak negatywnie oceniłem - tutejsi szukali spokoju i kontaktu z lokalną społecznością i przyrodą. Nie mogłem wyzbyć się pytania, które kołatało mi się w głowie - po jaki czort lecieć z Wielkiej Brytanii wiele godzin, z przesiadką w jedną i drugą stronę, żeby przez cały dzień pić alkohol, jeść podłe jedzenie i spać? Może chodzi o to, aby poczuć się jak bogacz? Ceny na Bali są dużo bardziej przyjazne poszukiwaczom powyższych "aktywności" niż w ich kraju. Ponownie nie potrafiłem znaleźć logiki w takim postępowaniu, choć oczywiście nie generalizuję, że każdy Brytyjczyk przylatuje tutaj właśnie po to.

W końcu znalazłem się w resorcie, w którym wypatrzyłem restaurację - przejechałem istną płataninę wąskich uliczek i znalazłem miejsce do zaparkowania skutera. Na resort składało się

wiele niewielkich budynków, pięknie wkomponowanych w górzysty teren - plaża była dużo niżej, co robiło naprawdę urocze wrażenie. Goście mieli dostęp do czarnej plaży, która nazywała się "Tajemnicza Plaża". Wokół nie było tak zielono, jak się spodziewałem - uroki suchej pory. W fantastycznej atmosferze zieleni i spokoju zjadłem pożywny i zdrowy obiad - wybrałem rybę, ryż, warzywa i sok ze smoczego owocu, czyli pitai. Po pysznym obiedzie zamówiłem jeszcze espresso, żeby dopełnić posiłku i - chciałem czy nie, musiałem wracać, aby wrócić za dnia, bałem się, że uszkodzę skuter po zmroku.

Wybrałem się jeszcze kawałek przed siebie, żeby zobaczyć jaki jest dalszy bieg drogi - okazało się to świetnym pomysłem. Po lewej stronie mijałem urokliwe czarne plaże, nad którymi wznosiły się mniejsze i większe resorty, restauracje i inne budynki, z których ludzie mieli wspaniały widok na morze. Po mojej prawej stronie położone były wioski, a droga prowadziła dalej ku dżungli. Miałem jeszcze nieco czasu w zapasie, skręciłem więc w kierunku jednej z wiosek, która również wyglądała jak miks świątynno-mieszkalny. Droga prowadziła pod górę i wchodziła do lasu, po kilku minutach jechałem w pięknie zielonej, rozśpiewanej ptakami leśnej gęstwinie. Kiedy wjechałem wyżej, moim oczom ponownie ukazał się horyzont z morza i czarnej, wulkanicznej plaży - coś wspaniałego! Bardzo żałowałem, że nie mogę kontynuować podróży dalej, ale musiałem wracać - przede mną było 70 kilometrów do miasta, pokonanie tego dystansu przez korki zajęło mi ponad 2.5 godziny - powrotna droga była istnym szaleństwem, mój mózg pracował na najwyższych obrotach! Jadąc myślałem, że gdybym wiedział czym zaskoczy mnie Denpasar, wybrałbym nocowanie w terenie właśnie w tej pięknej okolicy, ale cóż - raz na wozie, raz w tabunie pijanych turystów. Myślenie o powyższym nie zajmowało mi jednak dużo czasu - wyprzedzanie z lewej i prawej strony, przejeżdżanie na czerwonym świetle, ignorowanie znaków policjantów, jazda chodnikami i inne niebezpieczne manewry, które stosowali tutejsi kierowcy (ja też byłem do tego zmuszony) zajmowały dosłownie 99% moich zasobów poznawczych. Dojechanie w jednym kawałku w takich warunkach było naprawdę wymagającym zadaniem, a gdybym próbował jeździć jak przywykłem w Europie, na pewno skończyłoby się to dla przynajmniej kończyną w gipsie. Nie wiem, jak to się stało, że przez całą dzisiejszą podróż nie widziałem żadnego wypadku ani nawet sytuacji niebezpiecznej - Balińczycy mają chyba szczęście. Nie mniej jednak, jednodniowy "kurs" jazdy po Bali spowodował, że nie mam już oporów względem wynajęcia skutera i podróżowania nim po Hanoi w Wietnamie, gdzie jezdni zdaje się być dosłownym chaosem.























Zdjęcia 205-222

Planowałem, że kolejny dzień spędzę ponownie na poznawaniu wyspy skuterem - obudziłem się jednak niewyspany i zmęczony. Po zjedzeniu śniadania stwierdziłem jednak, że nie mogę się mazać i wsiadłem na skuter! Żeby uniknąć korków, obrałem sobie za cel półwysep, na którym znajdowało się lotnisko - destynacja była relatywnie blisko. Jeździłem od plaży do plaży, zatrzymując się na wielu punktach widokowych i podziwiałem panoramy. Punkty widokowe zlokalizowane były wyżej i wyżej, dojazd stawał się coraz to trudniejszy, ale widok coraz ciekawszy. W niektórych miejscach zlokalizowane były ciekawe miejsca hotelowe dla turystów, gdzie plaże znajdowały się kilkadziesiąt metrów niżej - można było schodzić tam schodami bądź zjeżdżać stromymi, wąskimi drogami, których zakręty przyprawiały o dreszczyk niepokoju na barkach. Drogi nie były specjalnie zatłoczone, mijałem wiele barów, restauracji i kawiarni, piękne hotele i resorty, które oferowały ogromne pola golfowe, na których szczęścia szukali starsi panowie otoczeni wianuszkami młodszych o dekady kobiet, ubranych w kuse, białe stroje - ich głównym zadaniem miało być zapewne umiłanie graczom czasu, widziałem także, że nosiły im kije ze schowków w meleksach.

Mijałem wiele pięknych, tradycyjnych domów, bardzo bogato wykończonych, często połączonych ze świątyniami, ale często spotykałem nowoczesne inwestycje deweloperskie - budowane były tak, aby mieszkańcy mogli cieszyć oczy wspaniałymi widokami na morze. Na każdym kroku zacząłem dostrzegać koszyczki z jedzeniem dla duchów - były dosłownie wszędzie, przed sklepami, restauracjami, na chodnikach, schodach - było to bardzo ciekawe doświadczenie.

Niestety - w wielu miejscach zalegało mnóstwo śmieci. Wczoraj zauważyłem, że większość cieków wodnych, które płyną przez wioski i wpływają do morza, były raczej ściekami niż rzekami, płynęło nimi wszystko - odpady, ekskrementy, śmieci... przerażające.

Na moje nieszczęście nie było tutaj lasu, jedyną zielenią stanowiły niewielkie skupiska lub pojedyncze drzewa, wiele zielonych oaz było wyciętych pod kolejne inwestycje. Budowane hotele i pensjonaty znajdowały się przy hałaśliwej drodze, co raczej nie wpłynie pozytywnie na komfort gości. Jeśli ktokolwiek chciałby wypocząć, jedyną opcję stanowi zaszywanie się w drogim reście i nie opuszczanie go ani na jeden dzień. Na głównych drogach ruch był bardzo intensywny - mijał mnie potok skuterów i samochodów, a im bliżej południa, tym bardziej się nasilał. Wiele skuterów, które prowadzone były przez młodych ludzi, miało przytroczone deski do windsurfingu - sport ten był tutaj bardzo popularny, wiatr i fale sprzyjały.

To, czego doświadczałem teraz na Bali, przydarzyło się wcześniej na Filipinach i wyspie Palawan. Nie twierdzę, że Bali nie jest piękną wyspą, ponieważ jest tutaj wiele ciekawych miejsc, ale dojazd do nich wymaga poświęcenia paru godzin - spokojne i piękne plaże są trudno osiągalne, a w miejscach dostępnych szerszemu gronu osób, tłok jest niesamowity.

Po powrocie z przejażdżki, podczas której widziałem naprawdę piękne plaże i klify, była już 17.00. Podładowałem telefon i zamarzyłem o zjedzeniu kolacji w spokojnym i cichym miejscu, co w Denpasar było wyzwaniem. Na szczęście wiedziałem, gdzie mogę odnaleźć spokój - widziałem restaurację przy bardzo drogim hotelu, gdzie wszystko było minimum dwa razy droższe, ale co mi tam! W cenie miałem piękną restaurację w ogrodzie, widok na morze, muzykę na żywo i pyszną kolację - jedyne słuszne zakończenie męczącego dnia i pobytu na osławionej, choć przereklamowanej wyspie.

Widzimy się na Lombok!